

# *C i s i*

Maciej Głowacki

Wrocław 2020

Krzyk rozerwał ciszę. Hapon badał teren ledwie sto kroków przed nimi, a to daje dość czasu, by z człowieka w Lesie nie zostało nic.

Pięć płacht z szytych skór zafalowało na wietrze, mknąc slalomem między lepkiemi od żywicy drzewami. Krzewy jałowca i burzanu, choć rachityczne i przesuszone, sięgały do kolan i ciągnęły co rusz za nogawki i ochraniacze pogoni. Pokrowce instrumentów ciążyły na plecach łowców, gotowych na spotkanie z bogiem Lasu.

Kolejny skowyt był bardziej przeciągły, przepiętny bólem i desperacją. Przyspieszyli więc jeszcze mocniej, zajadle wrywając ziemi kolejne bezcenne metry. Karp wpadł w wykrot po przewróconej sośnie, przetoczył się i nie wytracając tempa, wrócił do biegu, jedną ręką sprawdzając stan plecaka i futerału.

Jeronim w pewnym momencie puknął się dwa razy w ramię i machnął dłonią w dół, dając jasny sygnał reszcie członków drużyny – będzie schodził. Chwycił za pas nośny, przeciągnięty na krzyż torsu, wyciągnął jednorazową syretkę i wkuł się w żyłę na przegubie dłoni. Zniknął niemalże natychmiastowo, przestał istnieć na tym piętrze rozumienia świata.

Wypadli na otwartą przestrzeń, gdzie spomiędzy wysokich koron miłorzębów na ziemię sypał złocisty pył.

Światło wyławiało z zielonego półmroku niewielką polankę, w której sterczała przekrzywiona, masywna kolumna z granitu. U nasady dziwaczego filaru stał Hapon, sięgający wzwyż grotem włóczni.

Próbował zdjąć szarpiącą się ofiarę.

Wyglądało to, jakby ogromny pajak wyplótł coś pomiędzy gniazdem a pajęczyną. Nagi człowiek o skórze pozbawionej koloru szarpał się potwornie, raniąc ciało o dziesiątki kolczastych gałęzi, misternie wrośniętych w jego plecy.

Lazarus wyszedł na otwartą przestrzeń jako ostatni, obserwując wszystko z daleka przez pryzmat grotu strzały. Wziął krótki, spłycony filtrami oddech i poluzował cięciwę. Kolejny dzień polowania zapowiadał odmianę, niestety na gorsze.

Obejrzał się na resztę grupy pościgowej. Hapon próbował zdjąć Straszniaka ze słupa granicznego, Karp zawiązywał od nowa skórzane ochraniacze na piszczelach i kolanach. Lew i Sawa nadal mierzyli z łuków w przestrzenie między pniami, próbując nie prowokować najbliższych drzew. Dopiero po dłuższej chwili z dolnego piętra zmaterializował się Jeronim, trzymając długie noże w obu dłoniach. Dyszał ciężko, spod koziej maski zionęła frustracja.

– Zdejmijcie ścierwo – zamigał dłońmi Lazarus.

– Będziemy go chować? – odpowiedziała równie bezgłośnie Sawa, chowając wpierw łuk przez plecy.

– Użyjemy go jako przynęty.

– To przecież jeden z naszych – wtrącił się Karp.

– Był, teraz to tylko skorupa, karykatura. – Lazarus zastygł w bezruchu i przez moment wszyscy nasłuchiwali delikatnego, nierównego szelestu liści, niemalże niemożliwego do usłyszenia wśród wrzasków. – Poślemy go na wyższe piętra, ściągnie uwagę drapieżników, da nam czas.

– I tak wchodzimy na terytorium Dyrygenta – zamigał Lew z chwilową przerwą, ostatnie słowo było zbyt nowe i specyficzne, musiał je sobie wpierw przypomnieć. – Na jego terenie nie będzie drapieżników.

Hapon pchnął włócznią ostatnią linę. Niemalże czarne, brudne ciało zawisło na moment w powietrzu i uderzyło o ziemię z trzaskiem. Dokładnie w momencie zetknięcia się z gruntem, przynęta zastygła w bezruchu. Natychmiast zleciały się pierwsze muchy, które dopiero po odcięciu ciała zainteresowały się nim na tyle, by urządzić ucztę.

– Teraz już będą.

Nastąpiła cisza, świdrująca nieznośnie uszy wprawionych łowców. Naruszyli delikatną równowagę okolicy, przełamując znacznik graniczny. Dotarli wreszcie do linii demarkacyjnej dominium ich ofiary, a co więcej, na centralne piętro,

trójwymiarowego terenu łowieckiego, wewnątrz którego panował ich cel.

– Fletnia jest cała – zamigał Karp, pokazując ręcznie rzeźbioną, zdobioną fletnię pana z jesionu.

– Schowaj, nie ma sensu prowokować – odparł Lazarus. Pojemniki wszystkich instrumentów pokrywały symbole i maść świetlikowa. Gdyby mogli, przygotowaliby narzędzia z metalu, bezpieczne i trwałe. Niestety do rytuału potrzebowali prawdziwych instrumentów z drewna, a te potrafiły ściągnąć na siebie dużo uwagi w Lesie. – Lew, podaj mi zielnik.

Lew wraz z Lazarusem pochyłili się nad zwłokami ściągniętymi ze słupa. Jesienne słońce przebijało z czystego nieba, wyłaczając unoszący się pył. Pierwszy łowca ściągnął z pleców szeroki toból ze zrolowaną, skórzaną matą i rozłożył pakunek obok truchła. Kilkadziesiąt posegregowanych futeralików, pojemniczków, puzderek i flakoników zastukało i objawiło się obecnym, błyszcząc miriadą barw.

– Boimy się bardziej Liśników czy Pustelków? – spytał Lew bezgłośnie.

– Pustelków – odparła Sawa.

– Ty się wszystkiego boisz – dodał Karp, po czym Sawa uderzyła go w ramię.

– Cisza – mignął Lazarus, przykładając palec do ust. – Jesienią stada Liśników schodzą niżej, a na Pustelki natkniemy się pewnie tak czy inaczej.

Lew pokiwał głową bez słowa i wyjął sporą strzykawkę o mosiężnym uchwycie pokrytym zielonym nalotem. Odciągnął tłoczek i nabrał nieco białawego, mętnego płynu, po czym wstrzyknął zawartość w szyję zabitego, nie odsączając powietrza.

Zwłoki nie zniknęły, lecz ich zapach już niósł się po dalszych piętrach wszechlasu, aż do terenów łowieckich zajadłych drapiezców. W gigantycznym niezwykle pustym oceanie Lasu rzadko dało się znaleźć świeżą i bliską padlinę. Już niedługo wszystkie okoliczne stwory miały zbiec się i posilić; od spokojnych i dostojnych łowców po zajadłe ścierwojady.

– To już – stwierdził lakonicznie Lazarus.

– Bardziej gotowi nie będziemy – odparł Lew.

– Zauważyliście? – spytał Karp – Wisiał jak Strasznik, tak by cierpieć i odstraszać innych, ale z pewną różnicą. Ta ostatnia lina, na której na moment zadyndał. Ją skonstruowano tak, żeby zapewnić mu natychmiastową śmierć, gdyby tylko ktoś zechciał pozbyć się słupa.

– Cios łaski – podsumował Jeronim.

Karp i Sawa pokiwali poważnie głowami. Na moment zerwał się wiatr, łopoczący wstążkami, przywiązanymi do poroży Cichych. Z oddali, z głębi Lasu dało się słyszeć przeciągłe, melodyjne buczenie w akompaniamencie gargantuicznych organów. Dzikie ptactwo poniosło się ponad koronami drzew, spłoszone dźwiękiem, który nie zapowiadał niczego dobrego.

Tropienie w Lesie stanowiło podstawę ich życia. Każdy szmer, szelest, głos, wszystko miało swój sens. Czasami z innych pięter dobiegały ich zdławione nawoływania stworzeń, szukających pomocy, wabiących ofiary lub zwyczajnie chcących porozmawiać. Znali je wszystkie, nikomu nie odpowiadali.

Cisi udawali, że nie istnieją. Wymierzony krok, właściwy wolno płynącym transom, prowadził ich przez jedno i to samo piętro. Wkłady w filtrach utrzymywały ich przy powierzchni i niwelowały kołysania fal, mogących ich znieść z właściwego poziomu.

W pewnym momencie drogę pogoni zastąpił kolosalny pomiot z głębi leśnego matecznika. Przerośnięty daniel liczył w kłębie ponad trzy metry, a łopatom sięgał do niższych gałęzi niektórych drzew. Na jego grzbiecie siedziało rzędem dwanaście kolorowych ptaków, żyjących z wyjadania pasożytów i owadów.

– Warto? – zamigał Lew, widząc, jak zwierzę staje na dwóch kopytach, by oprzeć się o pień i pyskiem sięgnąć do liści lipy.

– Kiedyś – odpowiedział Lazarus i wyznaczył kurs dookoła stworzenia.

Roślinożerny gigant był znacznie większy od swoich odpowiedników spoza Lasu. Miał krótki ogon, pokryte kościstymi guzami nogi i zrogowaciały grzbiet, poznaczone łysymi plackami po futrze. Z każdym ruchem ukazywał kolejne cechy, świadczące o tym, że najlepsze lata ma za sobą.

– Utyka – zamigała Sawa, gdy już odchodzili od łagodnego olbrzyma.

– Ty też będziesz – zamigał Jeronim, po czym pokazał, że jedynie żartował.

– Jest stary – stwierdził Lazarus, odwracając się po raz ostatni, by dojrzeć znikającą między drzewami sylwetkę daniela. – Dziwne, że przetrwał w tym miejscu, przy takim drapieźniku i to na tym piętrze.

– Byłby idealny na poroże – zamigał Karp. – Mój syn niedługo będzie potrzebował nowego, gdy już zaczną go puszczać na trawersowanie. A jak twoja wnuczka Lazarus?

– A jaka ma być? Ma ledwie roczek, trzymamy ją w żłobku... Dobrze, ma się dobrze. Dzięki, że pytasz. Mam wrażenie, że za często mnie nie ma. Jak przychodzę, to robimy



taką zabawę, że zasłaniał oczy obiema dłońmi i nagle wyskakując zza nich, a ona się śmieje.

– Akuku, klasyka – odpowiedział Karp, zasłaniając wizjery maski dłońmi i odsłaniając po chwili. – Z moim było to samo.

– To bardziej robi się tak – wtrącił się Lew, zasłaniając wizjery ramieniem i wyskakując zza niego, wznosząc ręce.

– Nie, musisz właśnie tak płynnie, pokazać jak wychodzisz zza dłoni.

– Jakby ktoś was teraz zobaczył... – zamigała Sawa i pokręciła głową.

Idący na tyle Jeronim obrócił się i po raz ostatni dostrzegł daniela, który świdrował go mądrym spojrzeniem. Ciężko się przyzwyczaić do tego, jak wiele stworzeń ma ludzkie oczy.

Wtem rozległy się trzy uderzenia, biegnące z kierunku, w którym podążali Cisi. Brzmiało to, jak dzieciół, bijący dziobem w pustą kłodę.

– Hapon coś znalazł – zamigał Lazarus i przyspieszył kroku.

Harcownika znaleźli kilka minut marszu dalej, przykucniętego nad krawędzią przepaści. Głęboki kanion porastały bujnie z każdej strony bluszcze i żółtawy mech, a na dnie, pod kredowymi ścianami chlupotała woda, spowita gęstą

mgłą. Na drugą stronę kanionu prowadził most kolejowy, na którego środku zatrzymała się lokomotywa parowa z kilkoma wagonami. Gdzieś dalej widzieli stróżówkę kolejową i błyszczący jasno znak z nazwą miejscowości.

– Drapieźniki nie lubią zamieszkiwać przebić w fasadzie Lasu – stwierdził Lazarus, rozglądając się za alternatywną drogą. – Dla nich te ludzkie aspekty są zbyt obce, nawet nie niezrozumiałe, ale śmierdzące, zbędne.

Hapon bez słowa machnął ręką na drugą stronę mostu i wzruszył ramionami.

– To bóg – stwierdziła krótko Sawa.

– Wiedzieliśmy, że to może się zdarzyć – skwitował Jeronim.

– Boję się – dodał Karp.

– Każdy się boi. Mamy swój rozum, wiemy, jak wygląda niebezpieczeństwo. Tylko idiota nie przygotowuje się do spotkania zagrożenia i tylko jeszcze większy kretyn w obliczu zła, udaje, że nie ma się czego bać. Ja się boję, a ty Lew, boisz się?

– Boję się – mignął Lew i pomasaował się pod ochraniaczami, przywiązany do bicepsów. – Jestem do szpiku kości przerażony.

W doskonałej ciszy sześć sylwetek łowców wymieniało się gestami, przedłużając moment wejścia na most.

– Dobrze, usiądźmy przed drogą po raz ostatni – pokazał Lazarus, przysiadł na jednym z podkładów kolejowych i wyciągnął ręce do pozostałych członków wyprawy. – Jakie macie intencje?

– Chcę wrócić do syna – stwierdził Jeronim i siadł obok Lazarusa, chwytając go mocno za dłoń.

– Chcę móc jeszcze zobaczyć siostry – dodał Lew, również siadając w półkolu.

– Chcę chronić rodzinę – pokazał Hapon, siadając obok Lwa i nim chwycił go za rękę, dodał szybko. – Wy jesteście moją rodziną.

Lazarus uśmiechnął się pod maską i kiwnął głową.

– Chcę wrócić do domu, tak po prostu – stwierdził Karp i siadł ciężko na nierównym brzegu, zarośniętego nasypu kolejowego. – Wiem, egoistyczne, ale nie wolno kłamać przy składaniu intencji, więc nie kłamię.

– Chcę się mylić, niech to nie będzie bóg – zakończyła Sawa, siadając między Lazarusem i Karpem.

Lazarus ledwie zauważalnie pokręcił głową na boki, zmierzył wzrokiem łowczynię i spojrzał w niebo. Na moment Cisi chwycili się mocniej, aż delikatne mrowienie przeszło po ciele każdego z nich. W końcu temperatura spadła zauważalnie, otworzyli oczy i wstali równie bez słowa co zawsze.

– To okropny dzień na umieranie – zamigał Karp, naciskając czubkiem buta na skrzypiące deski.

– To nie umieraj – odpowiedział Hapon, wchodząc jako pierwszy.

Zwiadowca z czoła pochodu poruszał się z gracją niezwykłą, nawet jak na przedstawiciela grupy łowczych. Postura delikatna, niemalże filigranowa, wypleciona była jedynie z cienkiej bardzo warstwy mięśni, oplatających kości, skryte w płaszczu z czarnej skóry. Zapewne, gdyby odrzucił włócznie i zdjął ubranie wraz z pakunkami, liczyłby o ćwierć wagi mniej.

Cisi szli w oddaleniu o kilka metrów, uważając, by żaden z nich nie znalazł się na tej samej desce w jednym momencie wraz z drugą osobą. Szykowali się na to, że złe rzeczy dzieją się zawsze w połowie mostów, to w końcu część tradycji.

– Nie patrzcie na boki – zamigał Lazarus, samemu zerkając co rusz z ukosa i łając się w myślach za to.

Karp rozejrzał się ostentacyjnie, spoglądając to na kotłującą się w dole wodę, to na wybebeszone wagony pasażerskie pierwszej klasy. Nagle jednak przestało go bawić ignorowanie poleceń Lazarusa. Coś zwróciło jego uwagę wewnątrz pociągu. Mimowolnie zbliżył się do zaporowanych szyb i wejrzał do wnętrza pojazdu.

Wzdłuż oświetlonego lampami gazowymi przedziału kroczył równym krokiem mundurowy w czerwonej czapce z czarnym daszkiem. Lustrował wzrokiem pasażerów, którzy siedząc przy stolikach, dawali się obsługiwać dwóm służkom w białych sukniach. W rogu wagonu Karp dojrzał farbowany na sztuczne złoto gramofon na bakelitowej podstawie, gdzie kręciła się płyta winylowa.

Nagle coś chwyciło mocno Karpa i pchnęło go z dala od wagonu. Cichy zrobił dwa kroki i przewrócił się na plecy. Deski jęknęły złowieszczo, z opóźnieniem rozległ się trzask i drewniany fragment przeokoziółkował w dół, by z pluskiem zagłębić się w taflę akwenu.

– Mówiłem, nie ruszaj, nie patrz. Nie bierzmy ani kwiatka, ani kromki, ani gałązki – zamigał żywiółowo Lazarus, w jego ruchach widać było ledwie kontrolowany gniew.

– Ani kwiatka, ani kromki, ani gałązki – odpowiedział Karp i z trudem wstał. Przez moment oglądał się, jakby w strachu, że coś upuścił, jednakże bezcenny futerał z fletnią trwał na swoim miejscu.

– Ja bym nie miał tyle szczęścia – zamigał Lew, stojący za Lazarusem i Karpem, po czym wskazał na wystający z plecaka bęben jednomembranowy.

– Nie są prawdziwi – dodała jeszcze Sawa, opierając dłoń na lokomotywie.

– Są, ale to nie ma znaczenia – zakończył Lazarus i ponownie pchnął lekko Karpa.

Nagle poziom wody podniósł się z ogromnym hałasem. Przelewająca się ciecz zabulgotała, wydała z siebie basowe mruczenie i wysoki pisk, akompaniujący gejzerowi pienistego wrzątku.

Nikt nawet nie spojrział w kierunku dna. Cisi po prostu przeszli na drugą stronę mostu. Wiedzieli, że lepiej się nie interesować każdym szumiącym liściem czy wałącą się w posadach górą. Byli w końcu jak te duchy w wagonie, tylko przejazdem.

– Andryjanki – przeliterował gestami Hapon, czytając z lśniącego, świeżo malowanego znaku. Nazwa była obca, miejscowość nieodkryta, a gospodarz niegościnnie.

– Dziwne, że nie natrafiliśmy na więcej Straszniaków – stwierdziła Sawa.

– Cokolwiek tu mieszka, nie potrzebuje ich więcej – odpowiedział Lew.

– Albo nie chce – dodał Jeronim.

Postawili pierwsze kroki po drugiej stronie granicy i natychmiast poczuli, jak piętra zaczynają się rozjeżdżać. Z wprawą zebrali się w kręgu, Jeronim wyciągnął kawał czerwonej liny i wszyscy chwycili się jej jak najszybciej.

Lew z trudem zdjął z siebie plecak i zaczął przebierać w zielniku. Łowca wziął głęboki oddech przez filtry, zdjął maskę i położył sobie palce na powiekach. Jego skóra wyglądała jak powierzchnia bryłki węgla, trzymającej się jedynie gęstą siecią zielonych żył. Spod gęstej, rudej brody wystawały nadęte, czerwone wargi, szepczące bezgłośnie słowa mantry ochronnej.

Cichy zakończył rytuał równie szybko, co rozpoczął. Z powrotem założył swoją pokrytą ornamentami maskę. Z wprawą godną szefa kuchni zaczął szykować nowe wkłady filtrów, jakby gotował każdemu ulubione danie, wkładając w to wiedzę, doświadczenie i pasję. Ledwie chwilę potem zebrani odebrali swoje nowe filtry i zaciągnęli się głęboko gryzącą, nieprzyjemną mieszaniną ziół i mchu.

– To miejsce jest tragiczne.

– Jeśli chodzi o skład powietrza? – spytał Lazarus.

– O wszystko – dookreślił Lew, migając szybko. – Powietrze pachnie jak dziura. Wszystko drży jak skowyt, odbijający się od ścian. Całe piętro jest zamknięte w puszcze obrzydliwych rytuałów. Ich groza stanowi stalagnaty, scalające kieszeń między stropem i podłogą. Sam Las chce zmiażdżyć to miejsce.

– Cudownie – odparł Karp, wyciągając lornetkę, by zlustrować okolicę.

– Stalagnat – zamigłała na próbę Sawa i zaraz ponownie.  
– Stalagnat. Stalagnat.

– Człowiek uczy się całe życie, co? – odpowiedział Lazarus i też zaczął migać rzadko używane słowo. – Stalagnat... Stalagnat.

– Dobra, raz człowieka wzięło na poezję, cisza – urwał Lew.

Wieś zdawała się niemalże nienaruszona, nawet jak na standardy spoza Lasu. Domy pokrywała świeża farba, często wzbogacona o wyczelowane zdobienia w formie malowanych kwiatów i wzorów geometrycznych. Pozostawione w donicach krzewy nie zdążyły się rozbestwić, przełamać ceramicznych granic i zbiec z dwuszeregów. Nawet bluszcz, kryjący tak liczne bramki i przejścia ogrodów, wydawał się ujarzmiony i mimo braku nadzoru podążać jedynie wyznaczonymi ścieżkami.

– Wygląda, jakby ktoś tu mieszkał, ale to niemożliwe – stwierdził Karp, gdy już podał lornetkę Lazarusowi.  
– Na społeczność Samosiedlców nie ma szans, a na jednego anachoretę to za dużo roboty.

– A może to stosunkowo świeże przebicie w osnowie? – spytał Jeronim.

– Znikoma szansa – odpowiedział Lew, nie podając żadnych argumentów. Każdy ufał jego doświadczeniu, w końcu znał Las od zawsze, nim jeszcze powstał Cisi.



– Nikt nie mówił, że będzie łatwo – dodał Karp.

Zebrani pokiwali głowami, nie mieli nic do dodania.

– W sensie dosłownie nikt tak nie mówił, a nawet ostrzegała nas, że...

– Wiemy, zrozumieliśmy za pierwszym razem – odpowiedział Lazarus i zamarł w bezruchu, gdy ciszę rozerwał przedziwny dźwięk.

Bękart skowytu bólu i przeciągania smyczka po rozstrojonym kontrabasie, temu najbliższy zdawał się ten pożałowania godny i odbierający pogodę ducha hałas. Wstrząsnął słyszającymi go Cichymi do szpiku kości, choć przez lata doświadczali najróżniejszych odgłosów stworzeń Lasu. Mimo wszystko nie był to przypadkowy ton, przebrzmiewało w nim coś celowego, niemalże wyćwiczonego. Ten dźwięk był sztuczny, zaprojektowany z myślą, by wzbudzać strach w każdym, kto go usłyszy.

Słyszeli preludium do grozy.

– Przygotujcie się – zamigał Lazarus i z pietyzmem zaczął ściągać z pleców wysoki, sznurowany pokrowiec.

Hapon stanął na czatach, obserwując wszystko sponad grotu włóczni, gdy jego towarzysze szykowali się do starcia. Lazarus z czułością przejechał urękawiczonymi palcami po chwycie smyczka i ledwie musnął pierwszych strun swoich jasnych skrzypiec. Lew okręcił w dłoniach bęben i chwycił go

pewnie po lewej. Karp z ogromnym zapalem dorwał się do swojej fletni, jako jedyny był muzykiem z zamiłowania, a nie z konieczności. Już kusiło go przytknąć usta do otworów wlotowych, lecz w ostatniej chwili przypomniał sobie o dedykowanym ustniku, który należało wczepić w dolne wejście poroża. Jeronim wyjął z masywnego, sztywnego pudła harmonię ręczną. Był wściekły, że w ogóle musiał ją nosić, instrument, którego najmniejszy ruch może wywołać głośne, zwracające uwagę rżenie. Mimo to przygotował się nie mniej od reszty. Na koniec Sawa odpięła spod plecaka krótką ligawkę z rogu kozła, a nie drewna. Jedyny instrument, który nie zwracał na siebie uwagi w Lesie. Na jej szczęście ligawka była dość długa, by nie potrzebować ustnika, mieściła się w masce bez problemu.

– Robimy to tutaj? – spytał Hapon.

– On już i tak wie – zamigał Lazarus, przytrzymując przez moment skrzypce między podbródkiem a obojczykiem. – Dobrych łowów.

– Dobrych łowów – odpowiedzieli zgodnie Cisi, szykując instrumenty.

Ligawka zadęła dojmująco, aż trawniki zdały się ugiąć na powitanie. Kurz pokrywający świat drgnął i zniknął, odsłaniając żywe, przelewające się powoli barwy, skrywane do tej pory przez mgłę. Wieś zmieniła się z zasnutego siwizną

skansenu w rozżarzoną aulę lub scenę teatralną, pełną jaskrawych rekwizytów.

Lew uderzył w bęben raz, drugi, trzeci i w końcu złapał rytm. Złowieszczy ton. Zapowiadające uderzenia. Krótkie grzmotnięcia. Groźne dudnienie. Nawołujący łoskot. Rozrywane powietrze. Poszerzany widnokrąg. Drżąca ziemia. Nośny ryk.

W melodię wkradł się wyczekiwany ze strachem, odległy odgłos, przypominający skomlenie i rżenie. Obrzydliwy, jadowity okrzyk przyprawił Cichych o dreszcze, niemalże fizycznie zmuszając ich do zgarbienia się w przerażeniu. Mimo to nikt nie ustawał, Cisi grali, istota nawoływała.

Wreszcie dało się słyszeć tubalny głos jak pieśń wieloryba, rozchodząca się w głębinach. Piętra zaczęły rozjeżdżać się, nie mogąc utrzymać ciężaru właściwości fizycznych stworzenia, które zmierzało w kierunku zebranych łowców. Świat zmienił się w roziskrzone palety barw, przelewające się nieustannie i walczące o własną stałość do wtóru chaotycznej, sprzecznej muzyki.

Karp gwizdnął we fletnię i zaraz powietrze wokół Cichych z powrotem scaliło się w jeden, spójny i harmonijny obraz. Niewielka, jasna bańka porządku objęła muzyków. Dookoła wszechświat dosłownie implodował, a piętra Lasu

próbowały zmiażdżyć cyklopowe podpory praw, ustanowionych przez lokalnego boga. Spokojna, niemalże beztroska pieśń Karpa zdawała się zaprowadzać ład tam, gdzie panowało bezprawie pękającej fizyki.

Aż doszło do momentu, w którym Lazarus doznał wyczekiwanego z lękiem szoku, bo oto objawił mu się bóg. Zza wzniesienia szutrowej drogi, z mgły i unoszącej się wszędzie mlecznej, dwojakiej poświaty piętra, wyłoniła się ogromna sylwetka bóstwa.

Bóg liczył sobie tyle, co dwóch ludzi, łeb miał gigantyczny, upleciony z gałęzi i niepodobny w niczym do ludzkiego. Czerep przerośniętego lisa, pozbawionego uszu pokrywała dwupiętrowa korona z kolczastych gałęzi. W jego oczodołach błyszczały kamienie żywiczne, gdzie tkwiły krwiście czerwone kulki jarzębiny. Tułów ledwie przypominał człowieka, rozrośnięty, nienaturalnie umięśniony i pokryty warstwą stwardniałej, czarnej dębiny. Całkowicie nagie ramiona i nogi wieńczyły pazury, spod których zwisały półprzezroczyste nici, przypominające babie lato lub przędło.

Jeronim zaskrzytał harmonią, jego serce zabiło szybciej, nie mógł znaleźć właściwego dźwięku, bądź coś było nie tak z samym instrumentem. Cisi nie przerywając swojego koncertu, zwrócili się w kierunku towarzysza, ich poznaczone

śladami setek polowań maski skrywały pełne oczekiwania i strachu twarze.

Hapon zacisnął zęby, wiedział, że to może się zdarzyć. Nie zdążył nawet pomyśleć o tym, by wzniesć włócznię. Poczul przeszywające uderzenie, po którym nie nastąpił ból, a jedynie pustka. Przez moment widział przelatujące nad głową chmury, korony drzew, ścianę kanionu. Nagle rozbrzmiał plusk wody. Dalej wpatrywał się jedynie w oddalającą się od niego powierzchnię. Zapadał się w zimną, mokrą przepaść i nie mógł nawet drgnąć.

Lazarus nie zdążył nawet zarejestrować, jak szybko bóg doskoczył do jego przyjaciela i jeszcze szybciej sprawił, że ten zniknął gdzieś w toni odległego akwenu. Mantrował jedynie, bo wiedział, że nie ma sensu się modlić w żadnej intencji, stojąc twarzą w twarz z bóstwem.

Jeronim wdusił w siebie chwyty harmonii, rozbrzmiał gwizd, przeistaczający się szybko w niemalże nieprzerwaną melodię wysokich i skocznych dźwięków. Odnalazł właściwą tonację i włączył się do gry wraz z resztą współbraci. Jego dźwięki objęły boską istotę i dosłownie wdusiły w ziemię, aż wokół jej stóp ziemią zaczęła pękać.

Muzyka zagrała nieidealnie przez jedno uderzenie serca. Wystarczyło bóstwu, by przyskoczyć do Cichych, ale nie wystarczyło na zadanie ciosu.

Bóg pojawił się tuż przed Lazarusem, świdrując zwyrodniałym spojrzeniem maskę starego łowcy na wylot. Na moment Cichy i bóstwo widzieli się mimo dzielących ich warstw ubrań i mantr ochronnych, czuli swoją obecność, narastające ciśnienie, szukające ujścia.

Bóstwo wydało z siebie kakofonie tysięcy całkowicie sprzecznych, obcych i jazgotliwych porykiwań. Wzniesiony przez istotę tumult przypominał otworzenie drzwi świątyni i usłyszenie jednocześnie wszystkich odgłosów, jakie kiedykolwiek miały miejsce w jej murach. Chóralne pieśni, modlitwy, organy, intonacje, zaśpiewy, szepty i kawalkady kroków, bijących w chłodny kamień. Wszystko wylewało się naraz spomiędzy zębów boga.

Lazarus spokojnym, niemalże dostojnym ruchem poprawił chwyt na skrzypcach, ponownie wzniosł na moment posrebrzany smyczek w powietrze i przyłożył go z czułością do kruczoczarnych strun.

Dźwięki grane przez starego łowcę były bezkompromisowe, szybkie, spójne, wyuczone. Ani jeden zbędny ruch nie zmącił skrzypienia, które natychmiastowo odtrąciło gigantyczne stworzenie od grających Cichych. Wprawne ruchy Lazarusza cięły, siekały i kroili ciało boga na kawałki. Kolejne gałęzie strącały z siebie korę i odsłaniały świeże, jasnozielone warstwy łyka, iskrzącego bielu i kambium.

Obierany żywcem ze skóry stwór wydał z siebie ostatni, niemalże błagalny ryk bólu i rozpaczy, po czym rozkrzyżował szeroko ręce i zmarł sparaliżowany. Jego ciało schodziło warstwami, odsłaniając tkwiący wewnątrz błękitno cielisty kokon, z którego spływała mętna krew, wypełniona drobnymi, glistowatymi pasożytami. Aż w końcu wnętrze boga otworzyło się z głośnym trzaskiem, ukazując schowaną, skarłowaciałą sylwetkę człowieka, pozbawioną wszystkich kończyn.

Cała kapela przestała grać niemalże jednocześnie. Sawa załkała bezgłośnie, padła na ziemię i złożyła się w kłębek. Karp schylił się i zwymiotował przez ustnik własnej maski. Lew objął Jeronima i po prostu kołysał go w rytm z matczyną czułością i troską.

Jedynie stary Lazarus odłożył skrzypce do pokrowca, złożył na nich dziękczynny pocałunek przez maskę i sięgnął po zdobiony sierp, zbliżając się do bóstwa.

Okaleczony, nagi, pokryty śluzem zewłok dyszał ciężko, zwisając na pojedynczej, wczepionej w kręgosłup gałęzi. Reszta ciała stworzenia zdawała się już całkowicie martwa, pozbawiona życia, nie zabita, ale porzucona.

– Nareszcie... – szepnął drżący humanoid, skryty wewnątrz bóstwa.

Lazarus wstrzymał się w pół kroku. Ostrożnie zlustrował blady kadłubek, na którego piersi widniała

ciemnoczerwona, pulsująca narośl, z której przebłyskiwały kropki czystego, oślepijąco pięknego złota.

– Nareszcie krzyki ustąpiły – szepnął kaleka i wzniosł pokryte bielmem oczy na Lazarusa. Jego głos był chropowaty, cichy, jak skrzypiące deski w oddali. – Ty jesteś Łazarz, będziesz godnym następcą.

Lazarus rozchylił usta w zdziwieniu. Nie powinien był słuchać licha z głębi Lasu, a mimo to zbliżył się i otaksował rachityczną, pokrytą śluzem sylwetkę stwora. Stwór wydawał mu się obcy, obrzydliwy i majestatyczny jednocześnie. Pozostali z Cichych nawet nie próbowali obserwować zdarzenia, walcząc z własnymi myślami.

– Ziarno dało mi wszystko, o czym mogłem marzyć. Zostałem nawiedzony i naznaczony. Mogłem poprosić o wszystko, więc poprosiłem o to, by nie musieć prosić, zacząłem żądać wszystkiego... Tak się zostaje bogiem, Łazarzu. – Stworzenie na moment wbiło niewidzący wzrok w Lazarusa i jakby uśmiechnęło się krwawiącymi ustami, wprawiając rozmówcę w obrzydzenie. – Jednak w Lesie mogą przetrwać ludzie, ale żyć jedynie bogowie. Ile widziałeś w życiu gniazd ludzkich? Jak wiele wypalonych domów, szczyrzyło do ciebie puste okiennice? Wiesz, że przed wojną mieliśmy tu kino? To nie cmentarze i ruiny mijasz w tym kotle światów, to ludzkie pomniki, a każdy powinien mieć swojego strażnika



pamięci, takiego jak ja. Ziarno może dać ci wszystko, co tylko zechcesz, całą moc, jakiej zapagniesz. Użyj tego mądrze, bo naprawdę niewielu ludzi zostało bogami, a jeszcze mniej wywalczyło sobie ten przywilej. Śmiało, to szczęście dla wszystkich i nie zostaniesz nigdy skrzywdzony.

Lazarus chwycił ciemną narośl na piersi umęczonego człowieka, zacisnął palce z całej siły. Z ogromnym trudem, do wtóru głośnego młaśnięcia wyrwał guz z miejsca, gdzie powinno być serce.

Złociste ziarno błyszczało własnym światłem, kusząc oczy, by patrzył na nie jak najdłużej. Delikatne, białe wici pulsowały i pełzały jak macki ośmiornicy lub drobne larwy, szukające pokarmu. Cichy spoglądał długo na doskonałe znalezisko, aż z rozmarzenia wyrwał go nagły ból. Długi, korzeniasty kolec wbił się mu głęboko we wnętrze dłoni. Mackowate witki zakotłowały się z nową energią, wślizgując pod materiał rękawiczek, podważając paznokcie i plombując żyły łowcy.

Lazarus przymknął na moment oczy. Ziarno mówiło do niego z prędkością tysięcy litanii na sekundę. Każde uderzenie ziarnistego serca wypełniało go nowym zrozumieniem Lasu, dysocjowało od własnego człowieczeństwa i czyniło z niemożliwego oczywiste, a z niepoznanego naturalne. Oczy

łowcy zgasły na najkrótszą chwilę, jakby świadomość całkowicie i bezpowrotnie opuściła jego ciało.

Świsł, chrzęst, plask. Dłoń starego Lazarusza uderzyła o ziemię, drżąc i zamykając w swoich stygnących palcach opuszczone ziarno. Cichy wytarł z krwi trzymany sierp o nogawkę i schował narzędzie za pasek. Pasożytnicze serce boga gasło z każdą sekundą, pokrywając się kurzem wioskowej drogi.

Lazarus obejrzał się na pozostałych towarzyszy i przyłożył palec jedynej dłoni do ustnika maski.

Cisi odpowiedzieli bezgłośnie tym samym gestem.

– Cicho.

# *Patroni*

Jan Lutze	Łukasz Kulwicki
Paul Troffke	Mikołaj Żelewski
Rafał Krzyżanowski	Julia Osiecka
Michał Misztal	Piotr Abramik Stanięcino
Kamil Szyłkiewicz	Iwona Pułanecka
Wirginia Jankowska	Jan Jaśkowiec
Wiktor Ordon	Damian Adamczak
Marcin Ostoja-Helczyński	Maddie11
Barry Lidders	Anastazja Łomot
Michał Nowak	Tomasz Ryczaj
Adam Orlicki	Jan Kubik
Anna Myszkier	Jan Brzozowiec
Ola Wójcik	Przemysław Kwaśnik
Katarzyna Gabrysz	Filip Szyjakowski
Rafał Rogoziński	Patryk Bernardelli
Janek Buszkiewicz	Weronika Sroga
Kacper Paczyński	Jakub Witczak
Michał Nowicki	Albert Pasierowski
Monika Zajączkowska	Zuzanna Żychowicz
Dawid Furmanek	Jędrzej Ziółkowski
Paweł Gągała	Szymon Walczak
Sebastian Pasterniak	Wawrzyniec Sokołowski
Maciek Pernal	Jacor Kracor
Kamil Maciasz	Konrad Zapasowy
Jędrek Wawrzeń	Jakub Pietrek
Marzena Sieprawska	Grzegorz Dombrowski
Kamila Ostrowska	Barbara Konopka

Weronika Jaśkiewicz	Julia Świerkot
Jakub Pierzak	Mikołaj Matusiak
Jakub Rogala	Klementyna Święcicka
Jan Guzik	Eryk Kawecki
Cyprian Perepeczo	Maria Kabala
Michał Lipski	Dominik Tokarski
Mateusz Wyszynski	Oskar Archi Nowogórski
Jacek Kloss	Sebastian Frączyk
Marcin Gepner	Ola Giedrojć
Karol Szewczyk	Maciej Musiał
Kate Turwon	Wiktoria Kaczmarczyk
Damian Bociek	Jan Bąk
Ania Jędrowiak	Katarzyna Marciniak
Ada Benio	Tymoteusz Całka
Filip Siuda	Jakub Ahmed Witczak
Paulina Chodyra	Natalia Kowalska
Dawid Klose	Rafał Gomola
Dominik Kucharski	Michał Dzierwa
Kamil Sobczyk	Michał Strok
Mikołaj Stężycki-Wojtasiak	Jakub Cisło
Jakub Sawicki	Zuzanna Obajtek
Przemek Piotrowski	Jakub Strugała
Cezary Kubiński	Ola Gościcka Kacza
Karol Kamiński	Wojciech Dąbek
Mikołaj Trawiński	Miłosz Dunikowski
Anna Dubec	Krzysztof Negacz
Krzysztof Kwiatek	Julia Podgórska

Kacper Jaśkiewicz  
Edmund Kukowski  
    Damian Kurek  
    Michał Orzolek  
    Tomasz Kisiel  
Jakub Hukiewicz  
    Paweł Etmański  
    Maciej Knap  
Mikołaj Roszczyk  
Stomolko Connor  
    Kazno De  
Łukasz Strzyżewski  
Dorota Dzikowska  
    Kamil Adamczak  
    Daria Sawicka  
Izabela Kajmowicz  
Marta Niedźwiecka  
    Maciej Chrobok  
    Darek Mytych  
    Piotr Walasik  
    Janek Kozak  
Kacper Oleszak  
Tymoteusz Tuttas  
    Bartosz Chamera  
Tymoteusz Zięciak

Konrad Kowalczyk  
    Michał Raczek  
    Piotr Wiśniewski  
    Dawid Owczarz  
    Stanisław Lem  
Arkadiusz Kostuniak  
    Karol Zaborowski  
    Tomek Napierała  
Piotr Ponewczyński  
    Łukasz Biernat  
    Jakub Czarkowski  
    Jakub Kłoka  
    Grzegorz Wójcik  
Katarzyna Wysocka  
    Mateusz Czernicki  
    Monika Brzyska  
    Magda Pakuła  
Robert Wasielewski  
    Piotr Gramiak  
    Aleksandra Stec  
    Paulina Kozak  
Marcin Walkowiak  
    Michał Dolinowski  
    Maciej Więckowski  
    Daniel Styś